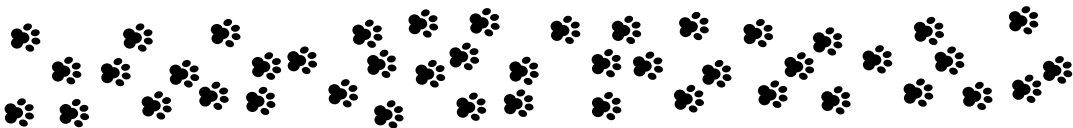


Katarzyna Ryrych

*Za wszelką
cenę*



Katarzyna Ryrych
Za wszelką cenę

© by Katarzyna Ryrych
© by Wydawnictwo Literatura

Okładka:
Elżbieta Chojna

Skład i korekta:
Lidia Kowalczyk, Joanna Pijewska

Wydanie I

ISBN 978-83-7672-300-6

Wydawnictwo **Literatura**, Łódź 2014
91-334 Łódź, ul. Srebrna 41
handlowy@wyd-literatura.com.pl
tel. (42) 630 23 81
faks (42) 632 30 24
www.wyd-literatura.com.pl

1.

Julia otworzyła oczy.

Nad jej głową powoli obracał się wiatrak, a zza zielonej okiennicy dochodził zapach świeżo parzonej kawy.

Odwróciła głowę i spojrzała na zegarek.

Dochodziła dziewiąta. Nie zdarzało jej się spać aż tak długo, ale noc była tak duszna i ciepła, że zasnęła dopiero nad ranem.

Przypomniała sobie, że na nocnym stoliku pozostała szklanka wody mineralnej i wyciągnęła po nią rękę.

Uniosła się na łokciu i pociągnęła spory łyk. Woda była nieprzyjemnie ciepła, więc odstawiła szklankę z powrotem i usiadła na łóżku. Spojrzała na regał stojący naprzeciwko i z przyjemnością odczytała kilka polskich tytułów. Obok książek stały szklane słoje pełne kolorowych muszelek i kamieni, kilka porcelanowych kotów i parę fotografii. Julia sięgnęła po okulary, ale zamiast nich jej dłoń napotkała jedwabiste futro.

Trójkolorowa kotka uniosła pyszczek i szeroko ziewnęła.

Za oknem głośno i uporczywie trąbił jakiś samochód, ulicą z nieprzyjemnym warkotem przejechał skuter, a za ścianą, gdzie znajdowała się łazienka, szumiął prysznic.

Julia wstała i podeszła do okna. Delikatnie pchnęła okiennicę i wyrzała na ulicę.

Słońce oświetlało dach sąsiedniej kamienicy, a na parapecie jednego z okien, pomiędzy doniczkami z geranium, siedział olbrzymi, szary kot.

Reszta okien przysłonięta była jednakowo zielonymi żaluzjami. Julia pomyślała, że dom wygląda na wymarły i że nie zdziwiłaby się wcale, gdyby mieszkał w nim tylko kot, ale słó-
czone na ulicy przy budynku samochodu i skutery mówiły jed-
nak coś zgoła innego.

Julia wysunęła głowę na zewnątrz i spojrzała w dół.

Napis, który zapamiętała, wchodząc do klatki schodowej, był duży i czytelny: „*BENTORNATA, AMORE MIO, DUO MESI DI NOI, TI AMO*”, głośiły duże, wyraźne, białe litery.

Julia uśmiechnęła się.

Złożenie łóżka okazało się bardziej skomplikowane, niż przypuszczała. Chwilę trwało, zanim pojęła, że składa się ono na trzy, aby w końcu zamienić w coś, co przypominało staro-
świecką sofę.

Musiała narobić przy tym sporo hałasu, bo drzwi do pokoju otworzyły się. Kotka wybiegła z pokoju z ogonem uniesionym wysoko i powiewającym dumnie niby proporzec.

– Już? – zapytała drobna starsza pani. – Panna Perlina – Ju-
lia domyśliła się, że chodziło o kotkę – wstaje zazwyczaj w po-
łudnie.

– Już – odpowiedziała. – Było gorąco – dodała, bo nagle zu-
pełnie absurdalnie przyszło jej do głowy, że powinna być zdro-
wo zmęczona po podróży i wzorem kotki wstać dopiero w po-
łudnie, i że taka wczesna pobudka może być poczytana jako
nietakt.

– Jest gorąco. – Starsza pani miała na sobie długą, prostą ba-
wełnianą sukienkę. – W końcu to sierpień – uśmiechnęła się,
a w kącikach jej oczu pojawiły się drobne zmarszczki. – A ten
jest wyjątkowo ciepły.

Julia przytaknęła.

– Zaraz zjemy śniadanie. – Starsza pani odgarnęła z policz-
ka Julii kosmyk włosów. – Przygotowałam ci ręcznik, a szam-
pon znajdziesz na umywalce.

– Przywiozłam swój – bąknęła Julia, a starsza pani ponownie się uśmiechnęła.

– Niezależna i zapobiegliwa. Zupełnie jak... – urwała i zamrugwała oczami. – Ale oczywiście na wspomnienia przyjdzie jeszcze czas – rzekła, otwierając drzwi łazienki.

Julia zamknęła je za sobą i przeciągnęła szczotką po włosach. Woda była letnia, orzeźwiająca. Z prawdziwą przyjemnością weszła pod prysznic. Wzięła z brzegu wanny przezroczyste mydło, pachnące pomarańczą.

Kafelki pod stopami Julii były jaskrawoniebieskie, a z lustra w złoconej ramie spoglądała na nią blada twarz o zielonych oczach.

Wszystko dokoła było jasne i kolorowe, jakby prześwietlone słońcem.

Poprzedniego dnia zegnał ją deszcz. Zaczęło padać wcześniej rano i drobna, nieprzyjemna mżawka odprowadziła ją aż na lotnisko.

– Tato? – zapytała Julia, stojąc na mokrym chodniku. – Możesz mi powiedzieć, czego jeszcze się dowiem?

– Sam nie wiem – odpowiedział ojciec i zapalił kolejnego papierosa.

– Nie wiesz? – Julia zmarszczyła brwi. – TY nie wiesz?

– Po prostu nie wiem.

Stali chwilę w milczeniu, obydwójce wysocy, rudowłosi, zielonoocy.

Tatusiowa córeczka – przemknęło przez myśl Julii.

– I nie wiesz, dlaczego tak, prawda?

– Wiem. Ale to inna historia.

– Nie ma innej historii. – Julia poprawiła torbę na ramieniu.

– Czasami jest. – Ojciec zgasił papierosa i wrzucił niedopałek do kosza.

- Uczyłeś mnie czegoś innego. – Julia nie dawała za wygraną.
- Historia bywa bolesna, córeczko.
- Tak bolesna, że się milczy?
- Tak.

Ojciec spojrział na zegarek.

- Spóźnia się twój Romeo – powiedział.

- Jak zawsze – mruknęła Julia i wtuliła nos w sweter ojca. –

Tak już ma.

- Mam nadzieję, że kiedy dostanie w prezencie zegarek z wyraźnym cyferblatem, zrozumie aluzję.

- Ja też. – Julia spojrzała ponad ramieniem ojca. – A ty? Ty się spóźniałeś?

- Czasami. Moja matka... – zaczął i urwał.

Julia rzuciła mu pytające spojrzenie.

- Nie spóźniała się nigdy – dokończył i po raz kolejny spojrział na zegarek.

Dochodziła dziewiąta.

- Chyba się nie doczekamy. – Julia pociągnęła ojca za rękaw, tak jak robiła to jako mała dziewczynka.

- Chyba.

Ojciec chwycił torbę podróżną i długimi krokami poszedł w stronę wejścia. Julia obejrzała się jeszcze raz i poczuła w gardle niemiłe łaskotanie.

Nie beczeć – pomyślała. – Za żadne skarby nie beczeć.

Na środku hallu czule zęgnęła się jakaś para. Blondynka w białych spodniach i sięgającej pasa kurteczce i wyżelowany chłopak ze złotym łańcuchem na szyi.

- Pa, misiu – piszczała dziewczyna.

- Pa, misiu – mruczał chłopak.

- To wracaj szybko, misiu.

- To zadzwoń, misiu.

- Misiu.

– Misiu.

Kiedy Julia podchodziła do bramki, „misie” zęgały się nadal. Ojciec przytulił ją tak mocno, że aż zabolalo.

– Zadzwoń, kiedy będziesz na miejscu – powiedział.

Julia pokiwała głową. „Misie” nareszcie odkleiły się od siebie i w zupełnie niepojęty sposób poczuła ukłucie zazdrości.

Pociągnęła nosem.

Ojciec zmarszczył brwi.

– A ja tego Romea lubię, wiesz? – szepnęła jej we włosy. – Misiu...

Julia roześmiała się mimo woli. Kochany ojciec, znał ją tak dobrze jak nikt na świecie.

– Zadzwoń – powiedziała i włożyła do koszyka swoją torbę.

Zajmując miejsce w samolocie, Julia odruchowo rozejrzała się dokoła. „Miś” udał się najwyraźniej w innym kierunku – odetchnęła z ulgą. Nigdy nie lubiła publicznego demonstrowania uczuć, czuła się zwykle zażenowana, nawet obserwując zupełnie obcych ludzi, więc to dziwne ukłucie na dnie serca wprawiło ją w niepokój. Czyżby, do diabła, była zazdrosna? Niemożliwe.

Nie ona, nie Julia. Przecież nie była zakochana w Romku, po prostu zbieżność imion sprawiła, że koledzy i koleżanki z grupy stworzyli z nich parę. Ale fakt, że Romek, zwany przez znajomych i rodzinę Julii Romeem, nie pojawił się na lotnisku, był dla niej dziwnie przykry.

Julia posłusznie ustawiła fotel do pionu i zapięła pasy. Pośród fotelami młodzieńca stewardesa demonstrowała, jak założyć maskę tlenową i wydobyć spod siedzenia kamizelkę ratunkową.

Nic nie ma prawa mi się przytrafić – pomyślała Julia, puszczając instrukcje mimo uszu. – Nic nie ma prawa się wydarzyć, zanim...

No właśnie. Sama do końca nie była pewna, co czeka ją na końcu podróży, a fakt, że w wieku dwudziestu lat odziedziczyła dom po babce, która wcale nie zmarła dziewiętnaście lat temu, był tyleż zaskakujący, co intrygujący.

Julia wyjrzała przez okienko. Ziemia oddalała się szybko, przechylona nagle na bok, a zachodzące słońce rzucało złociste światło na wijącą się w dole rzekę.

Dachy coraz mniejszych domów połyskiwały miedzią, zupełnie jak świeżo wymyte włosy Julii.

Spojrzała na zegarek. Dochodziła dwudziesta, pora, o której Rocky, pies Julii, domagał się wieczornego spaceru. Julia mimowolnie pogłaskała leżący na kolanach sweter, szary i miękki.

Chmury, które pojawiły się tuż obok, były perłowszare, delikatnie obrysowane pastelowym różem i pofalowane. Zupełnie jak kołdra – pomyślała Julia. – Kołderka z chmur.

Gdzieś pomiędzy prześwitami w chmurach zapaliły się pierwsze światła. Wyznaczały drogi, znaczyły ludzkie osiedla, większe i mniejsze, migotały i gasły.

Kładą się do snu, razem albo osobno, a psy niepostrzeżenie moszczą się obok – przemknęło jej przez myśl i kiedy zamknęła oczy, pod powiekami od razu pojawił się psi pysk, czarny, ze sterczącymi na boki wąsami, przyprószony siwizną, z figlarnymi błyskami w lekko zmętniałych oczach.

Postanowiła, że zaraz po powrocie wybiorą się na długi spacer i nie będzie narzekać, kiedy Rocky wytarza się w czymś, co uważa za wyjątkowo atrakcyjne, a ona, Julia, za wyjątkowo obrzydliwe...

Światełko, które zapaliło się na niebie, było silne, lekko różowe i Julia pomyślała, że to na pewno Wenus. Od razu przyszedł jej na myśl obraz, na którym rudowłosa bogini wynurza się z morskiej piany. Była ruda – Julia uśmiechnęła się do swojego odbicia w szybie.

Światełko zamrugało do niej porozumiewawczo, a Julia przymknęła oczy.

Jakie to wszystko dziwne – myślała, a pod jej powiekami przesuwwały się zdarzenia kilku ostatnich tygodni.

Dzień, w którym dowiedziała się, że przyznano jej stypendium naukowe, tajemnicza mina ojca, kiedy podał córce dużą, szarą kopertę, nieznana babcia, o której Julia wiedziała tylko tyle, że umarła tuż przed jej urodzeniem, a której zdjęć nie było w żadnym z rodzinnych albumów, babcia, o którą daremnie wypytywała dziadka, a jedyna odpowiedź, jaką kiedyś udało się jej uzyskać, brzmiała: „Żyła w świecie fantazji”. Siedmioletnia podówczas Julia długo i bezskutecznie starała się wyobrazić sobie, jak też mógł wyglądać ten świat. Może niebo było w nim zielone, a trawa niebieska, i może ludzie, którzy go zamieszkiwali, chodzili na rękach? Dlatego kiedy Julia myślała o swojej babci, zawsze widziała staruszkę stojącą na głowie pośrodku niebieskiej łąki.

Napis na chodniku widoczny był również z okna łazienki.

– Julia, *amore mio* – uśmiechnęła się Julia.

– Mru – odezwała się siedząca na brzegu wanny kotka, po czym zeskoczyła na podłogę, gdzie stała ceramiczna miseczka z wodą.

Zapach dobiegający z kuchni był tak silny, że dotarł do łazienki, gdzie Julia raz jeszcze rzuciła okiem na swoje odbicie w lustrze. Ruda wiedźma – pomyślała i uśmiechnęła się mimo woli.

– Śniadanie na stole! – oznajmiła radośnie starsza pani, a Julii przyszło nagle do głowy, że uśmiech nie schodzi z twarzy jej gospodyni i nawet wtedy, kiedy mówi o czymś poważnym, w kącikach oczu ma maleńkie radosne zmarszczki.

– Dziękuję – powiedziała, a kobieta gwałtownie zaprotestowała:

– Mam na imię Margareta. „Pani” nieprawdopodobnie mnie postarza. To znaczy Małgorzata, ale ktoś kiedyś przerobił Małgorzatę na Margaretę i tak już zostało. Podobno jest łatwiej. Siadaj, dziecko, jedz szybko, dzień nie zaczeka na nas. A to oczywiście Perlina, pamiętasz? – wskazała ruchem głowy kotkę.

Julia spojrzała na zwierzę pochłaniające porcję czegoś mocno pachnącego tuńczykiem i na ogromny talerz przed sobą, na którym czerwieniły się podłużne plasterki mięsistych, soczystych czerwonych pomidorów, białe kawałki sera i różowiły się cienkie jak serwetki plasterki salami, a wszystko to posypane było drobno posiekаныmi listkami bazylii. Poczula, że robi się głodna, jeszcze chwila, a zacznie ślinić się zupełnie jak jej pies.

– I... ja mam to wszystko zjeść? – zapytała, a starsza pani pokiwała głową.

– Jesteś przeraźliwie chuda – stwierdziła. – Jak bezpańska kotka.

– Tata mówi, że wyglądam jak mysz – uśmiechnęła się Julia. – Jak ruda mysz.

Starsza pani zachichotała.

– Lubię myszy – przyznała. – Niestety, ostatnią widziałam bodaj dwadzieścia lat temu. Za to często zdarza mi się spotykać szczury.

Julia wdrygnęła się.

– Dlaczego? – zachnęła się starsza pani. – Naprawdę mają niewiele wspólnego z tymi z *Dżumy*.

– Ale jakoś tak... – bąknęła Julia i zajęła się kawałkiem sera. Talerz opustoszał wcześniej, niż mogłaby się tego spodziewać.

– Nie ma tutaj tylu szczurów, co w Wenecji – ciągnęła starsza pani – i zapewniam cię, że nie będą wyskakiwać na ciebie z ciemnych zakamarków...

Julia drgnęła.

– Nie mam zamiaru włóczyć się po ciemnych zakamarkach.

Kawa z białego ciężkiego kubka była mocna i aromatyczna, taka sama jaką na śniadanie robił ojciec.

– Twój tata wspominał, że lubisz kawę – powiedziała starsza pani, zupełnie jakby czytała w myślach Julii. – Naprawdę nie mam pojęcia, czy to jest zdrowe, czy niezdrowe. Piję mocną kawę co najmniej od pół wieku i jak dotąd nie trafił mnie...
– urwała zmieszana.

– ...szlag – dokończyła Julia i poczuła, że opuszcza ją nieśmiałość. – Kiedy opowie mi pani... to znaczy... kiedy opowiesz mi o mojej babci? – zapytała, podstawiając talerz pod strumień ciepłej wody.

Margareta oparła się rękami o stół.

– Nigdy, kochanie – oznajmiła.

– Nie rozumiem – wykrztusiła. – Jak to nigdy?

– To bardzo proste. – Starsza pani usiadła na drewnianym krześle i wyjęła z niewielkiego pudełeczka kilka kolorowych tabletek. – Twoja babcia... Życzeniem twojej babci było, żebyś dowiedziała się wszystkiego sama.

Julia poczuła, że jej usta otwierają się szeroko, jak u ryby.

– Sama?

Margareta pokiwała głową.

– Uwierz mi, nie miałabym ci zbyt wiele do powiedzenia. Przyjaźniłyśmy się, ale nie wiedziałam o niej zbyt wiele, prawdę powiedziawszy tyle, co nic.

Julia poczuła nagle, że musi usiąść i opadła na krzesło naprzeciw swojej gospodyni.

– Przyjaźniłyście się? I tak po prostu nic...?

– Tak po prostu nic – przytaknęła starsza pani. – To znaczy, jeśli chodziło o jej przeszłość.

Julia potrząsnęła głową z niedowierzaniem.

– Niemożliwe.

Pomyślała o Agacie, która obraziła się na nią, gdy Julia nie zdradziła jej adresu sklepu, w którym kupiła spódnice. Przyjaźń według Agaty polegała na bezwzględnej wymianie wszystkich tajemnic, na czymś, co nazywała absolutną szczerością. „Szczerość do bólu”, to było jej ulubione powiedzenie, więc przyjaźń skończyła się nagle i niespodziewanie... i, rzecz jasna, boleśnie.

– A jednak możliwe – uśmiechnęła się starsza pani. – Przyjaźń to szacunek, może przede wszystkim szacunek i akceptacja. Wy, młodzi, opowiadacie sobie wszystko, nawet to, co powinno...

– Nieprawda – nie zgodziła się Julia. – Może inni, ale...

I wbrew temu, co powiedziała przed chwilą, Margareta dowiedziała się o tym, jak zakończyła się przyjaźń Julii i Agaty, kim był Romek, zwany przez wszystkich Romeem, i dlaczego Julia postanowiła studiować matematykę.

Starsza pani słuchała uważnie, uśmiechając się dokładnie w tym momencie, w którym według Julii powinna była się uśmiechnąć, a kręcąc głową z dezaprobatą dokładnie wtedy, gdy wypadało.

– Twoja babcia była moją najlepszą przyjaciółką, czy chcesz w to wierzyć, czy nie – stwierdziła. – Ale pamiętaj, nigdy nie polecaj przyjaciółce ani swojej krawcowej, ani fryzjerki...

– Dlaczego? – Julia uniosła w górę brwi. – Przecież...

– Więc dlaczego nie powiedziałaś Agacie, gdzie kupiłaś spódnice? – Starsza pani podała Julii wielką, dojrzałą śliwkę.

Julia zatopiła zęby w granatowej skórce i poczuła, jak sok ścieka jej po palcach.

– Jakoś tak... – zamyśliła się. – Chciałam, żeby to była tylko moja spódnica. Ale moja babcia...

– Być może chciała, żeby to było tylko jej życie. Dopiero wtedy, kiedy ktoś pozwala ci być sobą i nie wtrąca się w to bycie, możesz nazwać go przyjacielem – dodała starsza pani i wręczyła jej biały, słomkowy kapelusz.

Kiedy Julia sięgnęła po leżące na stole lusterko, zadzwonił telefon.

Z toczącej się za ścianą rozmowy nie dosłyszała niczego oprócz swojego imienia.

– Zaraz przyjedzie twój przewodnik – oznajmiła starsza pani.

– To ty... – zaczęła Julia.

Starsza pani uniosła róg sukienki i oczom zdumionej Julii ukazała się... wcale zgrabna proteza.

– Długie dystanse nie są tym, w czym jestem dobra. Ja i Perlina zajmiemy się obiadem – poinformowała Margareta i pogłaskała Julię po policzku. – Zaraz przyjdzie Marco i zajmie się tobą.

Gdy zadzwonił dzwonek u drzwi, starsza pani zgrabnie i lekko przeszła do przedpokoju. Julia dyskretnie wychyliła się zza framugi.

W progu stał nieduży, chudy staruszek. W ręce trzymał dwie herbaciane róże, z których jedną wręczył Margarecie.

– A to jest właśnie Julia – przedstawiła ją starsza pani.

Staruszek uśmiechnął się i podał Julii drugą różę, a Julia ni z tego, ni z owego dygnęła zupełnie jak uczennica na akademii.

A więc to był tajemniczy Marco... Julia poczuła się mocno rozczarowana. Absolutnie irracjonalnie wyobraziła sobie wysokiego, barczystego młodzieńca o ognistych oczach, z którym – na złość Romkowi i ku zazdrości Agaty – miała spędzić swoje „rzymskie wakacje”, jak określił to ojciec.

Staruszek był drobny i niewysoki, miał na nosie śmieszne okulary w złotych ramkach, a z kieszonki jasnej płóciennej marynarki wystawał mu czerwony jedwabny fular.

– Marco jest jednym z najlepszych przewodników – wyjaśniła starsza pani. – I moim przyjacielem.

Julia cicho zachichotała.

Starsza pani odpowiedziała jej uśmiechem.

– O nim akurat wiem sporo – stwierdziła dziwnie ciepło i Julia po raz drugi poczuła się tak, jakby starsza pani czytała w jej myślach.

Tak więc zanim Julia wyszła ze swoim przewodnikiem z domu i zjechała na dół wąską, pachnącą pastą do podłóg windą, dowiedziała się, że Marco urodził się na Zatybrzu, a więc jest prawdziwym rzymianinem, że do dzisiaj mieszka w tym samym domu, dzieląc go z psem imieniem Dante, i że jego pasta, czyli makaron z sosem, nie mają sobie równych.

2.

Na zewnątrz było po prostu gorąco. Gorące były płyty chodnika, ciepło biło od ścian kamienic, a woda mineralna wyjęta przed chwilą z lodówki robiła się natychmiast ciepła.

Rosnące wzdłuż jezdni drzewka rzucały na ziemię nieduże, okrągłe plamy cienia. Julia przyjrzała się drzewkom uważnie i dostrzegła pomiędzy liśćmi nieduże pomarańczowe kulki.

Na rogu ulicy stało kilka stolików. Z wnętrza kawiarenki pachniało kawą, a przy stolikach siedziało parę osób pograżonych w rozmowie. Pod jednym ze stolików leżał nieduży żółty pies, a przed nim stała miseczka z wodą. Pies mimo gorąca miał na pysku uśmiech – Julia nie potrafiła inaczej określić wyrazu psiej mordy, kundel po prostu uśmiechał się z zadowoleniem. Przechodząc obok, spojrzała na niego ciepło, a staruszek z aprobatą pokiwał głową.

Nie bez satysfakcji dostrzegła, jak jeden z młodzieńców zbierających ze stolika malutkie filiżanki, rzucił jej powłóczyście spojrzenie.

– A ty, młoda damo, zwiedzasz Wieczne Miasto w towarzystwie jeszcze jednego zabytku – mruknął Marco.

– Zabytki to moje hobby – rzekła Julia zaczepnie. – Mój... – zawahała się, nie wiedząc, jakiego określenia użyć – mój przyjaciel studiuje historię sztuki. To jest trochę zaraźliwe...

Staruszek roześmiał się głośno.

– Zatem wszystko jest w porządku.

Przeszli przez ulicę, lekceważąc trąbiący głośno samochód.

– Miał zielone światło – zauważyła Julia.

Staruszek wzruszył ramionami.

– To jest Rzym – powiedział, jak gdyby to tłumaczyło absolutnie wszystko. Mimo podeszłego wieku szedł żwawym, prawie młodzieńczym krokiem i zatrzymał się dopiero przed niedużą studzienką. – Tę wodę możesz pić bez obaw.

Julia podstawiła ręce pod kran. Woda była chłodna i jak wydało się jej przez chwilę – aksamitnie gładka.

– Zawsze zabieraj ze sobą butelkę, chyba że pieniądze przeznaczone na lody chcesz wydać na napoje – zażartował Marco.

Zatrzymał się i wyjął z kieszeni portfel.

– Tu masz bilet na metro, autobusy i podmiejską kolejkę – powiedział, wręczając jej niedużą brązowo-czerwoną kartę. – Ważna do końca sierpnia, choć pewnie zechcesz zostać dłużej.

Dłużej. Julia schowała kartę do torebki i pomyślała o podmiejskim ogrodzie, gdzie niedługo zaczną dojrzewać jabłka i węgierki. Rzymskie wakacje, zamiast ognistego cicerone pomarszczony staruszek... nie żeby czuła się zawiedziona, ale wyobrażała sobie coś zupełnie innego i w ogóle dużo czasu minie, zanim odważy się wyjść do miasta sama, nie mówiąc już

o podróży do domu absolutnie nieznaney, zagadkowej i na dodatek niezżyjącej już babki. Domu na prowincji, gdzie na pewno wszyscy mówią jakimś niezrozumiałym dialektem w żadnym stopniu nieprzypominającym języka, jakim władała od szóstego roku życia. I oczywiście nie będzie romantycznego „*ti amo*”, którego nie usłyszała nawet od Romka.

Jednak zanim doszli do stacji metra (pośrodku Piazza Bologna, jak poinformował ją Marco), parę osób ukloniło się starszuskowi z wyraźnym szacunkiem i Julia poczuła się wyróżnioną, że to właśnie jej poświęca sobotnie przedpołudnie

W tunelu metra panował przyjemny chłód. Z głośników płynęła cicha muzyka i Julia wzdrygnęła się na myśl o wszechobecnych reklamach, które dosięgły ją także w Wiecznym Mieście.

Kiedy weszli do wagonu, Marco wręczył jej plan metra z zaznaczonymi szczegółowo stacjami.

– Nie będę mógł zajmować się tobą codziennie – wyjaśnił.
– Zresztą... towarzystwo antyku, nawet tak szacownego jak ja, może ci w końcu zbrzydnąć.

Julia rozejrzała się dokoła.

Na ławce naprzeciwko siedziała czarnoskóra dziewczyna, a przy wyjściu tłoczyło się kilka Azjatek. Pomyślała, że wszystkie dziewczyny ubrane są dość elegancko i że jej Iniana sukienka prezentuje się na ich tle wcale nie najgorzej.

Ależ jestem prymitywna – westchnęła w myśli. – Powinnam przebierać nogami z niecierpliwości, żeby już, już zobaczyć za-
bytki...

Zajrzała do torebki. Nieduży kompakt – prezent od ojca – był na miejscu.

Nie będę fotografować wszystkiego jak leci – postanowiła i podążyła śladem swego przewodnika, który już wysiadł z kolejki.

Na Forum Romanum kłębił się tłum turystów. Pomiedzy nimi krążyli sprzedawcy parasoli, słomkowych kapeluszy, a na uboczu dostrzegła kilku mężczyzn przebranych za legionistów. Od razu przypomniały jej się Krupówki, góral w przebraniu białego niedźwiedzia, zmęczone upałem owczarki i zakurzone dorożki.

– Wszędzie jest tak samo – powiedziała sama do siebie.

Wokół legionistów stał wianuszek turystek, pozujących do zdjęć w najwymyślniejszych pozach. Jedna z nich, starsza pani o fiołkowych włosach, godziła plastikowym sztyletem w pierś wojownika. Julia wzdrygnęła się.

– *O tempora, o mores* – mruknął Marco, a Julia uśmiechnęła się z wdzięcznością.

Kamienie Forum Romanum w świetle słońca były oślepiająco białe, a niebo nad nimi przeraźliwie niebieskie, zupełnie jakby namalowało je dziecko. Spomiędzy ruin wyrastały pinie o regularnych obłych koronach i wysokie smukłe cyprysy.

Byłoby absolutnie rewelacyjnie, gdyby nie ten cały tłum – pomyślała Julia i nagle dotarło do niej, że sama jest jego częścią.

Niespodziewanie zapragnęła znaleźć się sama pośród potrzaskanych kolumn i dotknąć ręką rozgrzanych kamieni.

– Nie sądziłam, że wszystko jest ogrodzone – zdziwiła się, wskazując na siatkę.

Marco pokiwał głową.

– A pomyślałaś sobie, co by było, gdyby każdy zabrał ze sobą tylko jeden malutki kamyk?

Julia zarumieniała się. Prawdę powiedziawszy, właśnie przyszło jej do głowy, że najlepszym upominkiem dla ojca byłby kamień z Forum Romanum.

Marco przysiadł na kamiennej ławce i przetarł okulary.

– Wyobraź sobie, że dawno temu jakiś amerykański milioner wybudował na obrzeżach Rzymu willę i wyłożył taras białymi płytami z Via Appia...

Julia pokręciła głową z niedowierzaniem i pociągnęła łyk zupełnie już ciepłej wody.

– Na szczęście odkryto kradzież i kamienie wróciły na swoje miejsce. Na koszt Amerykanina, rzecz jasna. Ale nie zdołano już odtworzyć ich układu – westchnął Marco.

Po białej nakrapianej płycie chodnika dostojnie przemaszerował szary gołąb.

Julia pomyślała o krakowskim rynku, kolorowych parasolach, spoza których nie było widać starych kamieniczek, o ludziach obsiadających pomnik Adama Mickiewicza i doszła do wniosku, że turyści wszędzie są tacy sami.

– Oczywiście, że możesz zwiedzić wszystkie muzea, które powinienem ci polecić – odezwał się Marco. – Ale możesz też poznać Rzym.

– Rzym – odparła bez namysłu Julia.

Marco uśmiechnął się.

– Tak właśnie pomyślałem.

– A... – zaczęła Julia.

– Dom? – Marco wstał z ławeczki. – Wtedy, kiedy sama zechcesz tam się udać.

Tak, staruszek miał absolutną rację. Od chwili przyjazdu Julia nie pomyślała ani razu o nieznanym, przepisany przez babkę domu, zupełnie jakby coś ją przed tym powstrzymywało. Wszystko było pełne tajemnic, dokładnie jak przedmiot jej studiów, tyle że klucz do tych ostatnich leżał w książkach i skryptach.

– Wszystko ma swój czas – kontynuował Marco – zmienia się z upływem czasu, ludzie i przedmioty, miasta i krajobrazy.

– Starzejemy się – wtrąciła Julia, czując, że musi powiedzieć coś mądrego, ale Marco pokręcił głową.

– Nie, po prostu podlegamy zmianom. Czasami, kiedy budzę się rano, trudno mi uwierzyć, że jestem osiemdziesięcioletnim

starcem. Po prostu dalej mam dwadzieścia lat i rzeczywistość dociera do mnie dopiero w łazience, kiedy zaczynam się golić.

Julia odruchowo spojrzała w witrynę sklepu. Pomiedzy pa-miątkami dostrzegła twarz rudowłosej chudej dziewczyny w ciemnych okularach i w białym, słomkowym kapeluszu. Przypomniała sobie nagle dzień, w którym skończyła sześć lat i zaczęła myśleć o starości. To było akurat pierwszego listopa-da, kiedy na kuchennym stole stały znicze i doniczki z chry-zantemami. Wszyscy rozmawiali o korkach i o tym, kogo naj-pierw odwiedzić, ile kto miał lat, kiedy umarł, i do małej Julii dotarło nagle, że i ją kiedyś ktoś będzie tak odwiedzać, ale za-nim to nastąpi, czyli zanim Julia umrze, będzie musiała się ze-starzeć, to znaczy przestanie bawić się ulubionymi zabawka-mi, nie będzie mogła jeździć na wrotkach i zmarszczki pokry-ją jej twarz... Teraz ma aż dwadzieścia jeden lat – i jest to aku-rat wiek, który uważała wtedy za starość.

– I biorą mnie diabli, kiedy łamie mnie w krzyżu – dokoń-czył Marco. – Ale – dodał z figlarnym uśmiechem – kobiety na-dal się za mną oglądają.

I jakby na potwierdzenie swoich słów odpowiedział uśmie-chem na uśmiech przechodzącej obok starszej pani.

Na czwartym piętrze kamienicy przy Via Arezzo czekał późny obiad. Julia z prawdziwą przyjemnością zdjęła sandałki i pomaszerowała do łazienki, podczas gdy jej gospodyni i Mar-co udali się do kuchni.

– To najbardziej włoska pasta – oznajmiła starsza pani, na-kładając na talerz Julii porcję makaronu z aromatycznym so-sem. – Oczywiście Marco...

– ...gotuje najlepiej na świecie, a już na pewno w całych Włoszech – dokończył starsuszek. – Tak, tak – uśmiechnął się do Julii – kuchnia pomagała mi zdobywać przyjaciół...